

Relacja Adama Gajdy

Nazywam się Adam Gajda, urodzony ^{i tam się} we Lwowie w 1931 r^{ow.} Rodzice moi, Maria i Kazimierz, pracowali na Cmentarzu ~~Orląt~~ Orląt. Ojciec mój sprawował funkcję gospodarza tego cmentarza. Mieszkaliśmy obok cmentarza aż do aresztowania i przyjazdu do Polski w 1946 r^{ow.} ^{ja}, jako chłopiec (chodziłem do szkoły powszechnej ² przed ¹ wojną) i w okresie okupacji kontynuowałem naukę w szkole powszechnej.

W 1939 r^{ow.} ^{le} wkroczenie ^{armii} radzieckiej ^{a.}. Było to duże zaskoczenie, bo jednostki, które były okopane na cmentarzu, oczekiwały ataku formacji niemieckich. Dowództwo odcinka, które stacjonowało u nas na Pohulance oświadczyło, że armia radziecka wkracza do Polski i oni muszą uciekać do Rumunii. Gdy sama armia wkroczyła, żołnierze ^{radziecy} byli jacyś przestraszeni, bojaźliwi i nikomu nie wierzyli. Patrzyliśmy na nich jak na jakieś diabły. Wiele rzeczy codziennego użytku nie znali, dla nich to była nowość. Byli bardzo nieufni. Jeśli się o coś poprosiło, nie chcieli od razu odpowiedzieć. Nie chcieli pomóc.

Zaraz po wkroczeniu zaczęły się kolejki w sklepach, czego nie było przed wojną. Brak ~~towarów~~, chleba i ~~te~~ ^{i wiele} kolejki zaczęły się od ~~dnia wkroczenia armii radzieckiej~~. Panował ~~baraż~~ ^{bardzo} duży niedostatek produktów spożywczych. Po wkroczeniu administracja rosyjska zaraz obejmowała wszystkie urzędy, szkoły. Pojawiła się też milicja, NKWD, która zaczęła się interesować mieszkańcami. Zaczęły się aresztowania. W pierwszej kolejności aresztowano wojskowych, policjantów, wyższych urzędników. Następnie także komunistów przedwojennych, ponieważ ~~tacy komuniści~~ mieli "odchylenia" niezgodne z linią ^{ujęte} obowiązującą w Związku Radzieckim.

Jeśli chodzi o znajomych ~~zawodowców~~ to aresztowani zostali Romaniszyn - sąsiad - kłysz i Polak. ^(zawodowy wojskowy, prop. ut.) Romaniszyn został zamordowany w więzieniu na Łąckiego we Lwowie. Kłysz nie powrócił, nie żyje.

Polak też nie. Innych nie pamiętam. (~~romaniszyn to był zawodowy~~
~~sierżant 40 pułku we Lwowie.~~ //

W szkole zaszły zasadnicze zmiany. w pierwszej kolejności usu-
nięto religię. Także wszystkie krzyże ze szkół. Wywieszono Stalina.
Nam oferowano pomoc. Zakładano drużyny pionierskie, urządzano za-
bawy, Dieda Moroza, paczki na Nowy Rok. Gdy przed wojną można było
dostać trzcinką czy linijką od nauczyciela, to teraz w żadnym wy-
padku nie można było uderzyć ucznia. Nauczyciele zostali polscy.
Wprowadzono też język ukraiński i rosyjski w II klasie /to była
polska szkoła/. Nas cofnięto o rok. Gdy przed wojną miałem iść do
II klasy, tak z powrotem chodziłem do I klasy. W roku 1939/40 nie
było naboru do pierwszych klas. Ja jeszcze w 1939-40 r. nie byłem
oczywiście zaangażowany w konspirację. Byłem za młody. A poza tym
był taki reżim policyjny, że nie byliśmy jeszcze przygotowani du-
chow, żeby coś podejmować. Enkawudziści dzielnicowi składali wi-
zyty 2-3 razy do roku i pytali, jak się z sąsiadem żyje, gdzie kto
pracuje itd. Takie wywiady.

w 1940 r. Rosjanie przystąpili do masowego wywożenia Polaków.
Byłem świadkiem jak zajechali po sąsiadów ciężarówką o ^{pięty} rano.
Sąsiadów załadowali na ciężarówkę, był płacz, mogli coś sobie za-
brać i już ich nie było. Następnie tych wszystkich aresztowanych
wagonami wywożono do Rosji. Była bardzo ostra zima. Polacy byli
bardzo zziębnięci, zgłodniali, a wagony zaryglowane. Ludzie w wa-
gonach prosili o jedzenie, o ciepłą strawę. Na dworcu Łyczakowskim
przystanął taki transport. Mieszkańcy Kolonii Profesorskiej, Ły-
czakowskiej tam nosili gorącą zupę, herbatę, co kto miał w domu.
Ja z mamą poszedłem na dworzec, żeby podać coś przez górne okienko.
Mama wdrapała się do okienka, żeby coś podać, a Rosjanin-Konwojent
zauważył to i zaraz matkę zabrał, odryglował wagon i chciał ją
wsadzić do środka, że niby uciekła. Na szczęście był drugi konwo-
jent, który tę scenę całą widział i poswiadczył, że ona nie uciekła,

tylko podawała. I tym sposobem uniknęła wywiezienia w 1940 r.

Wywożono przede wszystkim Polaków, ale Ukraińców też. W tych samych proporcjach. Chciano wymienić narodowości. Był też napływ Rosjan, którzy potrzebowali mieszkań. Zaraz po wywiezieniu danej rodziny wkraczali Rosjanie, zajmowali mieszkanie, z urządzeniami, z dobytkiem.

W 1940 r. jak rozpoczęła się praca w fabrykach, urządach nakładano do wstąpienia do partii komunistycznej. Rygorystycznie przestrzegano dyscypliny pracy. Za spóźnienie od razu były potrącenia, upomnienia. Każdy się bardzo spieszył, żeby się nie spóźnić do pracy. I rozpoczęła się zaraz procedura wyrabiania paszportów. Ten dokument był bardzo ważny, każdy musiał mieć paszport.

Do 1941 r. ^{do} mieszkaliśmy we Lwowie. Pamiętam jak Rosjanie uciekali. To była niedziela. Panował bardzo duży popłoch. Rosjanie byli zaskoczeni. Uciekali lekkimi ciężarówkami, gazami. To były sznury samochodów. Łyczakowską na Winniki uciekało wojsko i rosyjska ludność cywilna. Byli zaskoczeni, że Niemcy wydali im wojnę. O godzinie 11, 22 czerwca we Lwowie był pierwszy nalot niemiecki.

W poniedziałek, wtorek, 24 czy 25 czerwca Niemcy już byli we Lwowie. Otworzyli Brygidki na ul. Łąckiego. Wtedy ludność Lwowa chodziła rozpoznawać pomordowanych swoich krewnych. Wszystkie cele były pootwierane i można było rozpoznawać pomordowanych. Ciała były w rozkładzie, czyli te morderstwa musiały być dokonane co najmniej 10 dni przed wkroczeniem Niemców. Ciała były już sine, panował bardzo duży fetor. Później ciała z cel wyciągało się na plac więzienny i tam mieszkańcy Lwowa rozpoznawali swoich krewnych. Nie mogli tego zrobić Niemcy, świadczył o tym stan zwłok. A my już w środę-czwartek byliśmy na Łąckiego.

Gdy wkroczyli Niemcy, to wszyscy Polacy z ulgą przyjęli ich wejście. Że to naród kulturalny, lubi porządek, dyscyplinę, że już nie będziemy mordowani itd. Z takim nastawieniem przyjmowaliśmy

Niemców po wycofaniu się armii radzieckiej. Niestety, te nasze zapatrywania były błędne. Później wystąpił okres represji niemieckich. To samo się zaczęło: aresztowania, wywożenie, łapanki, głód. Taki bardzo znamieny głód był w 1942 r^o na wiosnę. Rzeczywiście jadło się łupy ziemniaków, lebiodę, zgniłe ziemniaki się wynosiło. Jeździło się za tym towarem. Niemcy odbierali po pociągach. Głód bardzo dał się nam we znaki na przednówku. Także łapanki, wywożenie. W końcu naród polski musiał się jakos bronic. Widzieliśmy, że będzie zagłada. Naprzód zaczęli wykańczać Żydów. Nawet nie odwozili samochodami do obozów, do getta, tylko strzelali na miejscu, na ulicy, w parkach. Później zabierali żydowskie trupy. Po wykończeniu Żydów, następni byli Polacy.

Byłem świadkiem kilkanaście razy, jak SS-mani wiezli na rozstrzelanie Rosjan. Rosjanie siedzieli na ciężarówkach, na ławeczkach. Za każdą ciężarówką jechali SS-mani z cekaemem, automatami, w hełmach. I wiezli tych jeńców rosyjskich - jeszcze mieli czapki z gwiazdą i szpicem - do piaskowni koło Winnik i tam rozstrzeliwali. Widziałem też, jak byli rozstawieni Ukraińcy, policja ukraińska, która pilnowała ~~ten~~ teren^y, gdzie się odbywała egzekucja Rosjan. My tamtędy przejeżdżaliśmy z dworca Łyczakowskiego pociągiem w kierunku Brzeżan. Ten wywóz przez ulicę Łyczakowską widziało tysiące ludzi.

W 1943 r^o jesienią zostałem zaprzysiężony do AK na Pasiekach. Przysięgę odbierał na sztandarze, któryśmy wykonali, dowódca plutonu "Felek", "Piotr"^u - Władysław Załugowicz. Chłopcy 13-15-letni byliśmy zaprzysiężeni, a nasza działalność obejmowała Pasieki, Kolonię Krzywczycką, Profesorską, cmentarz Łyczakowski, Pohulanekę. Myśmy mieszkali na cmentarzu Łyczakowskim. To był punkt sanitarny i zawsze mniej tam Niemcy docierali. To już były lasy i wer^tępy, więc ¹ bali się tam wieczorami podjeżdżać i podchodzić. ² Te ^{Ten} był więc punkt ¹ ważny. Mieliśmy broń - każdy z nas. Krótką broń. Ja miałem visa

3 2 1
polskiego. Dobrze jeszcze Moje palce nie sięgały spustu, ale postarałem się i miałem go. Jaką tam pracę wykonywaliśmy? Rozrzucanie ulotek wieczorem z tramwaju przez piaskownicę. Przenoszenie broni: Na wózki ładowało się jakieś drzewo a tam broń i granaty. My, chłopcy przewoziliśmy, a obstawa była robiona przez starszych kolegów, którzy szli ulicą, trotuarem i pilnowali nas. Raz poszedłem z "Felkiem" na obstawę jednego Ukraińca, który wezwał proboszcza, księdza Nencka, na rozmowę. Balismy się, że mogą być jakieś historie, do morderstwa włącznie. Więc my z "Felkiem" obstawialiśmy ten dom z bronią w rękę. Umówiliśmy się, że jeżeli ksiądz nie wyjdzie po godzinie, to rozbijamy szyby, okna i wkraczamy do mieszkania. Takich akcji było dużo, że musieliśmy obstawiać mieszkania. Chłopcy dawali znać sygnałem, czy zbliżają się jakieś posterunki niemieckie albo ukraińskie - to było nasze zadanie. No, a później zgrupowania. Starsi mieli zgrupowania w Birce Szlacheckiej, a my, chłopcy na terenie Lwowa. 22 lipca 1944 r. obstawialiśmy swoje miejsca zamieszkania i informowaliśmy o posterunkach i okopach niemieckich, też z bronią w rękę.

W lipcu 1944 r., pamiętam niedzielę po 22, chciałem przejść na jakąś drugą ulicę, oczywiście ostrożnie, bo to już były walki uliczne. Wyszedłem więc z za rogu na ulicę Wąsowicza, czając się przy parkanie. Poszedłem prosto wzdłuż ulicy jakieś 50 metrów przy zielonym płocie obrosniętym winogronem. Nagle Niemiec strzelił. Był okopany, a ja go nie zobaczyłem. Strzał poszedł nad moją głową po liściach, nie trafił mnie i wówczas ja zygzakami w tył zwrot. Oddał jeszcze dwa strzały, ale mnie nie trafił, a ja za róg i w ten sposób unikałem śmierci.

W 1944 r. pod koniec lipca Rosjanie wkroczyli razem z Armią Krajową, która pierwsza opanowała ulice, wkroczyła na rogatkę Łyczakowską, Zieloną, ze sztandarami, z opaskami. Przez dwa tygodnie Rosjanie i akowcy chodzili razem. Nikt nikomu nic nie robił. Po 2 tygod-

niach przyjechała administracja rosyjska. Były obwieszczenia o wstępowaniu do armii, o zgłaszaniu się do punktów mobilizacyjnych. Kto się nie zgłosił ze starszych, mężczyzn, do wojska, tego aresztowano. Mobilizowano do armii Berlinąga. Po ^{dwu} tygodniach AK we Lwowie musiała zejść do podziemia. Było to wielkie zaskoczenie. Niestety, mieliśmy już pierwsze sygnały o aresztowaniu dowództwa na ulicy Klonowskiego. To już był koniec naszej działalności dotychczasowej

Wszyscy akowcy, którzy mieli swoje lata, musieli się stawić do wojska. Młodszy czy starsi, którzy się ukrywali, byli tropieni przez NKWD i aresztowani. W związku z tym trzeba było uciekać, kryć się. Również przed Ukraińcami, bo też nas wydawali. Trudno powiedzieć o współpracy Ukraińców z NKWD, bo Rosjanie byli uprzedzeni do Ukraińców. Ukraińcy jednak masili się na Polakach, bo istniał jeszcze antagonizm podsycany przez Niemców. Niektórzy nacjonałiści, gdy mogli się odgryźć, to nas wydawali. Trzeba było na nich uważać.

Każdy się starał w jakiś sposób otrzymać papiery i wyjechać do Polski. Działalność polegała na zaiatwianiu papierów paszportowych na wyjazd, ^{(na} chowaniu broni, którą otrzymaliśmy ze zrzutów angielskich /to nie była ich broń, więc się nie oddawało/. Następnie produkowaliśmy ulotki i rozrzucaliśmy na ulicach. Ulotki były na 3 Maja, czy na Wszystkich Świętych rozsypywane na Cmentarzu Orląt. Dekorowaliśmy cmentarz biało-czerwonymi ulotkami z wierszykami, np. "Ty paskudny Stalinie, zabierz swoje świętanie". Dawaliśmy znać o Polsce Podziemnej przez napisy malowane na murach, na parkanach. Walka zbrojna z enkawudzistami nie miała miejsca, bo to już nie miało sensu. Musieliśmy się kryć, żeby nie być aresztowanym i wiewzionym.

Z dowództwem wyższym nie mieliśmy kontaktu. Działał w dalszym ciągu nasz dowódca Władysław Załugowicz "Felek" "Piotr". On jeszcze miał kontakty z wyższym dowództwem, a my tylko z nim. I cała działalność szła w tym kierunku, żeby chronić się przed NKWD. /Kogo

chcą aresztować, na kogo polują, tego uprzedzać, wyrabiać papiery, transportować do Polski, ukrywać tych, którzy nie mają jeszcze papierów. Samoobrona. Żadnych akcji się nie robiło. Po 1945 r. ^{już} się gazetki polskiej nie spotykało. Redakcja widocznie nie istniała.

Przez granicę się przeprowadzało w okolicach Mościska koło Medyki. Jedna pani, której nie znam nazwiska, tam parokrotnie z nami jeździła. Jeździliśmy do Mościsk i w okolicach Medyki przeprowadzaliśmy akowców, którzy byli spaleni. Ja jeździłem i Bolesław Wojtowicz - przed naszym aresztowaniem. Tam oddawaliśmy ich w ręce ludzi, którzy ich dalej kierowali. Jeździły nieduże grupy - po 3 ludzi. Musieliśmy pilnować, czy nie ma w pociągu jakiejś akcji kontroli. Ale obstawa była właściwa.

Nie było ograniczeń podróży ze Lwowa w rejon nadgraniczny, ale pociągi były tak przeładowane, że jachaliśmy nawet na dachach. Taki był ruch w polską stronę ze Lwowa. Na Przemyśl. Przypuszczam, że bardzo dużo młodych chłopców przeprawiało się przez granicę. Moi koledzy jeździli do Bytomia. Tam parę dni, później z powrotem. Jeździli pociągami towarowymi. Podczepiali się pod spód, żeby przejechać granicę. Już w 1946 r. wozili węgiel ze Śląska do Rosji. więc najwięcej ukrywano się w tym węglu i przyjeżdżano z powrotem do Lwowa. To wszystko byli starzy koledzy, wypróbowani w czasie okupacji niemieckiej.

Mój wujek mieszkał w Sokolnikach. Władysław Gajda. W 1941 r. jako poborowy był wzięty do wojska. Odbywał służbę wojskową na Kaukazie. Od wybuchu wojny w 1941 r. był na froncie i dostał się do niewoli niemieckiej. Niemcy tych wszystkich "plennych" wojskowych radzieckich wieźli transportami do Niemiec na roboty. wujek zobaczył, że jest w okolicach Lwowa i zdecydował się na wyskoczenie z pociągu. Udało mu się. Ukrywał się w czasie okupacji niemieckiej w Sokolnikach. A w 1944 r. musiał się kryć przed NKWD, bo był w armii, inaczej również byłby aresztowany. Jemu też wyrabialiśmy lewe papiery, żeby mógł się wydostać ze Lwowa do Polski.

W 1946 r., 5 lipca zostaliśmy aresztowani przez NKWD. Dom nasz przy Cmentarzu Orłąt o godzinie 4 rano został obstawiony. Zdradził nas jeden z kolegów, akowiec, Bolesław Wojtowicz. Zdradził, bo przyszedł z NKWD do nas. Po mnie i po matkę, głównie po mnie, bo mieliśmy zakopaną broń. Dostałem rozkaz broń zakopać jeszcze w 1945 r. Broń była angielska: steny, smithy, colty ze zrzutów. Ponieważ nie była to broń rosyjska, a z Rosjanami nie walczyliśmy, więc tej broni nie oddawaliśmy i zakopaliśmy ją. O tym wiedział Bolesław Wojtowicz i gdy go aresztowano to powiedział, że mam tę broń. Zaczęli mnie męczyć, bić, przykładają pistolet do skroni itd. Początkowo powiedziałem, że nic nie wiem. On /Wojtowicz/ wymieniał ilość, bo to znał. widziałem, że on wszystko ujawnia, więc w końcu odkopałem. W tej broni była też flaszką. Władysław Załugowicz miał spis naszych kolegów z AK, ale same pseudonimy. I to Rosjanie znaleźli przy tej broni. Ale pseudonimy niewiele mówiły. Tak zostałem aresztowany z mamą moją Marią Gajdą, wujkiem Tomaszem Wiśniewskim i Wojtowiczem.

W dniu 5 lipca, kiedy nasz dom był okrążony, na stryrychu w tym domu ukrywał się jeden z akowców w randze kapitana. On został wykradziony, odbity z więzienia we Lwowie. Akowcy prawdopodobnie wykopali tunel pod ziemią z więzienia i wyciągnęli 22 ludzi, którzy byli więzieni przez NKWD. Ten kapitan u nas na Cmentarzu Orłąt przechowywał się przez okres kilku tygodni. W dniu aresztowania spał na stryrychu. Kiedy enkawudziści okrążyli o 4 rano nasz dom, to ja szybko wbiegłem na stryrych, powiedziałem, że są enkawudziści i otworzyłem mu małe okienko na wysoki mur obrosnięty dzikim winogronem. On się wsunął tam na szeroki, zielony mur, tam się dalej czołgał, tak że nie został zauważony przez enkawudzistów i uciekł. Ten pan później, gdy mnie wypuszczono z więzienia, spotkał mnie na dworcu kolejowym "Merkury" we Lwowie, gdzie był przygotowany transport do Polski i za jego sprawą otrzymałem lewe pa-

piery, metrykę itd. Tego pana spotkałem we Wrocławiu kilkakrotnie, pracował w Wojewodzkiej Radzie Narodowej, ale niestety nie znam jego nazwiska ani pseudonimu.

Nas NKWD zabrało na komisariat na ulicę Kurkową i tam przez 24 godziny siedzieliśmy. Były przesłuchania o naszej pracy, co robiliśmy itd. Wojtowicz jawnie nas wkopywał, ponieważ w nocy z 5 na 6 lipca siedzieliśmy w pokoju dyżurnym w obecności dyżurnego enkawudzisty w czterech rogach pokoju i wtedy, a nie był zmuszany ani bity, pytał mnie o różne osoby, gdzie mieszkają i o dalsze osoby. Więc odpowiedziałem mu "Przecież pan wie lepiej niż ja, skąd mogę wiedzieć?"

6 lipca po południu zostałem wypuszczony, ponieważ nie miałem ukończonych 16 lat i jako niepełnoletniego nie wolno mi było zatrzymać. Wypuścili mnie do domu, równocześnie śledząc. W cywilu lejtnant Swietłowski szedł za mną do domu, czy się z kimś spotkam, czy będę rozmawiał, czy gdzieś z domu wyjdę. W domu miałem jeszcze młodszego brata, siostrę i babcię. Przygotowaliśmy się z bratem do wyjazdu, bo matka nie została wypuszczona. Zacząłem to załatwiać ze znajomymi. Tak przez 2-3 dni, oczywiście uważając, czy nie jestem śledzony. Byłem śledzony, ale jakos wymknąłem się przez boczne ulice, kamienice, podwórza. Tak że nawiązałem kontakty i miałem wyjeżdżać z bratem do Polski. Byliśmy już na karcie ewakuacyjnej. To wszystko się działo w ciągu 2 dni.

Rano o godzinie 6 babcia przygotowała jakieś jedzenie na drogę itd. A tu wpada NKwB /wtedy to odpowiadało naszemu UB/. Miałem wtedy meldunek, co zostało zabrane, jaka broń, ilość itd. Ten meldunek miałem w kieszeni. Kiedy oni przyszli, zdołałem wlecieć do kuchni i ten meldunek zjeść. Jak za mną wpadli do kuchni, zobaczyć co ja robię, ja już zjadłem meldunek i bardzo dobrze, bo gdyby wszystko znaleźli, byłbym bardziej bity i męczony. Zaprowadzili mnie na ulicę Pełczyńską, to blisko dawnego więzienia na Łąckiego.

* Ten meldunek robitem dla tego kapitana, który u nas uieniat, że AKWD
nie zabrano całej schowanej broni, o czym Wojtowiu nie wiedział, że jest.
była decyzja nie pójść dalej.
A ucwił wyszło. Mówi o takiej, która niewyższe była schowana, ale
ani on ani ja nie wiedzieliśmy gdzie. Enkawidysci całą pole stali
bagietami, ale jej nie znaleźli.

Tam przeprowadzono śledztwo. Kazano mi pisać o przebiegu działalności, przynależności do AK i to w języku rosyjskim i ukraińskim. Więc pisałem. Wieczorem byłem bardzo głodny, powiedziałem więc, że nie będę pisał, dopóki mi nie dadzą coś jeść. Wtedy przynieśli mi jedzenie.

Z NKKB na Pełczyńskiej wypuścili mnie do domu, bo miałem śledzić kochankę Wojtowicza. Po napisaniu tych zeznań kazali znaleźć adres kochanki Wojtowicza i innych akowców, tych, którzy wyrabiali paszporty na przechodzenie granicy w Przemyślu. Miałem się z nimi /NKKB/ spotykać na placu Zofii.

Wróciłem do domu, ale na drugi dzień zabrano mnie NKWD. Dostałem się do więzienia na placu Smolki. Tam było więzienie śledcze. Trafiałem do celi, gdzie było nas sześciu. Sami Ukraińcy, ja byłem jedynym Polakiem. Tam siedziałem miesiąc. Byłem wzywany na śledztwa. Cele były bez pryczy, materacy. Spałem na podłodze w swoim ubraniu. Dostawaliśmy dziennie 40 dkg chleba, 2 kostki cukru i garstkę rybek marynowanych. O godzinie 16 zupka z lebiody. Ubikacja była w celi. Wypuszczano nas codziennie rano na 20 minut na przechadzkę na dziedziniec.

Śledztwo. O godzinie 2 w nocy bito mnie po głowie, po brzuchu, tak że na parkiecie była kałuża krwi. Pytano mnie, dlaczego nie oddaliśmy broni. "No bo nie była wasza, ale ze zrzutu. Myśmy z wami nie walczyli. Kazano nam zakopać i samiście widzieli, że było zarosnięte, że tej broni nikt nie używał". Pytali o dowódców, nazwiska, cały przebieg działalności itd. Mówiłem, że współpracowaliśmy z partyzantką rosyjską, która była w Lasach Winnickich w latach 1943-44, że pomagało się im, że była współpraca, że oni mieli swoje zadania, my swojej. Pamiętałem wtedy nazwisko tego dowódcy grupy partyzantów. Nie odnosiło to żadnego skutku: "AK było przeciwko rosyjskiemu rządowi, chcieli ~~nas~~ nas więzić, aresztować". Też w nocy byłem wezwany na śledztwo, gdzie przeprowadzono testy.

Było siedem osób. Ja sam jeden. Pytano mnie z matematyki, z geografii, historii. Czy jestem rozwinięty, czy nie kłamię. To był taki test psychologiczny. Zadawano mi rozmaite pytania, bo znałem dużo nazwisk, zanętem broń. Oni nie umieli złożyć stena. Wyjęli amunicję i ja im składałem. Nie znali tej broni. Mogłem w nich rzucić granat; dali mi do czyszczenia granaty, które wykopałem. Mogłem go użyć, ale w domu była cała rodzina, więc tego nie zrobiłem.

Po miesiącu, pod koniec sierpnia o godzinie 14. zawołał mnie śledczy, nazwiska nie pamiętam, i przeproszał mnie, że siedziałem. Ze on był w "komandirówce" /delegacji/, że wypuszcza mnie i daje mi dalsze zadanie śledcze. Śledzenie kochanki /Wojtowicza/. Ale to już zlecało nie NKKB, a NKWD. Nadano mi wtenczas pseudonim Szasza, a ja miałem z nimi współpracować. Następnego dnia miałem się zgłosić o godzinie 11. Miałem wziąć jedzenie, ubranie i obiecano mi umożliwienie kontaktu z matką. Było to dziwne: wziąć ubranie, jedzenie, bieliznę. To znaczyło, że chcieli mnie wywieźć gdzieś do Rosji. Poszedłem do domu. Brat już wyjechał. Kiedyśmy przygotowywali wspólny wyjazd, mnie zabrano, a brata, jako małoletniego, zwolniono. Wyjechał do Polski tym tokiem, a zna moje miejsce pojechał kolega. Nazywał się Władek Pokorny. I on dowiózł brata do znanego punktu w Krakowie. Zostałem więc puszczony z więzienia i poszedłem do domu. Wszystkie rzeczy były już zabrane. Zostawiono tylko babci jedno łóżko, pierzynę. Siostrze też. A nasze rzeczy: łóżka, bielizna, pościel, kredensy były już zaplombowane. Tak że nie miałem na czym spać. A pierwsza rzecz to wyrzucić koszulę, bo było pełno wszy. I wymyć się. Jak to zrobiłem, powiedziałem: "Babciu, idę na komendę dzielnicową do lejtnanta Światłowskiego, na Korkową, żeby mi odplombował pokój, bo nie mam gdzie spać." Byłem tam, ale niestety go nie zastałem, wyjechał.

Było siedem osób, ja sam jeden. Pytano mnie z matematyki, z geografii,

Wracając wstąpiłem do nauczycielki, koło św. Antoniego, Konopackiej. Powiedziałem, jaka tragedia, że zostaliśmy aresztowani. Ona akurat w tym czasie wyjeżdżała do Polski z dworca Merkury. Wysłuchała mnie i mówi "Chodź ze mną na transport, przypilnujesz mi bagaże". Pojechałem więc w dniu wypuszczenia z więzienia na dworzec. Tam zauważyłem kapitana z konspiracji i on mnie zauważył. Zamrugał do mnie, że chce ze mną rozmawiać. Oczywiście to było na migi, żeby ktoś nas nie zaobserwował. Poszedłem później na tym dworcu między wagony i tam porozmawialiśmy. Powiedziałem mu wszystko, jak sprawa przebiega w śledztwie, co się tam mówi itd. To był ten, który w dniu aresztowania spał u nas na cmentarzu na strychu. Powiedział mi: "Nie wracasz do domu, jedziesz do Polski, ja ci tu wszystko załatwię."

Nie wróciłem do domu i babcia nie wiedziała, co się ze mną stało. Wiedziałem, że transport nie odjedzie w tym dniu, już był wieczór, więc poszedłem do znajomych sióstr Sacre Coer koło Politechniki Lwowskiej i tam nocowałem. Powiedziałem im, żeby babcię zawiadomiły, że nie zostałem aresztowany, że wyjechałem i nie wrócę, żeby się nie martwiła. Od sióstr dostałem trochę jedzenia i pojechałem na dworzec. Rano ten transport jeszcze stał. Przydzielono mnie do jakiejś rodziny jako dziecko, członka tej rodziny. O godzinie 14.00 siadzę w wagonie towarowym, a o 11.00 miałem się zgłosić na Smolki. Transport nie rusza. Siedzę obok drzwi, nie widać mnie wogóle. Rosjanin z NKKB wsadził głowę do wagonu: "Zdrowstwu, Adasku, czto ty tu dziełajesz?" To on mnie zabrał z domu i przesłuchiwał mnie. "Gdzie ty był dwie niedieli?" Ja mówię: "W tiurmie siedziałem". "Jak to w tiurmie?" "Co wy tu udajecie że nie wiecie, dobrze wiecie". "Co ty tu robisz?" "Odprowadzam znajomych". "Ładnie, kiedy będziesz u nas?" "Jutro wstrietimsia na płoszczadi Sofii, dwienadcat czasow". "Choroszo". I mnie puszcili. Ci państwo usłyszeli całą rozmowę i poszli do konwojenta.

Nie chcieli, żebym ja jechał, bali się. Nie wiem dokładnie, kto mnie tam przydzielili. Wszystko jedno, jeżeli będę jechał do Medyki i będę przy wywoływaniu, no to wpadnę. Ale i tak mi groził wywóz do Rosji. Na jedną kartę postawiłem. A jak nie będę przy wywoływaniu, to się uda.

Nazwisko miałem zmienione. Miałem metrykę. Nazywałem się wówczas Wolski Władysław, urodzony w Stryju, w 1934 r. Syn Tadeusza i Marii z domu Koscielskiej. Pamiętam te dane. Tę metrykę miałem i swoją parafialną schowaną w bucie. Z tą nową byłem na karcie ewakuacyjnej zbiorowej. Przydzielono mnie do innego wagonu do jakiegoś sierocińca. To było około 30 sierpnia 1946 r. Wieczorem ze Lwowa, z dworca towarowego transport ruszył. Aż odetchnąłem, gdy ruszył. Teraz granica. Bałem się. Z nazwiska mnie nie znali. Ale jak mnie zobaczą, poznają mnie. Przecież mnie śledzą. Wywołali "Wolski, z wagonu!" Każdy po wywołaniu musiał wyjść. Wyszedłem, ale ich nie było i udało mi się przejechać. Tak że rano 31 sierpnia byłem w Przemyślu. O 4 rano wzeszło słońce, wyszedłem z wagonu odetchnąć sobie i na bocznych torach usiadłem. Lokomotywa była odczepiona od naszego transportu. Rozglądałem się. Koło mnie przeszedł zdemobilizowany Rosjanin. I jakoś zwrócił uwagę na mnie i ja na niego. I coś mi się on nie bardzo podobał. Patrzyłem, czy nie jestem śledzony. No nie, przeszedł. Ale zwróciłem uwagę na niego. Za 20 minut ten sam Rosjanin z obandażowaną głową. Oko miał zabandażowane. Oj, wiedziałem, jestem mimo wszystko śledzony. Strach mnie ogarnął. Wszedłem do wagonu. I jak do wagonu wlażłem, to 4 dni nie wychodziłem, aż dostałem się z Przemyśla do Pyskowic. Cztery dni jechaliśmy. Dopiero w Pyskowicach z szerokich torów przeładowaliśmy się na wąskie. I brzuch mnie bolał, i pchły mnie obkoczyły, ale nie chciałem w ogóle wychodzić z wagonu. Gdy już był ten przeładunek, usłyszałem, że ten transport jedzie w kierunku

Wrocławia. Ja tam nie miałem żadnego adresu. Wiedziałem, gdzie brat miał być w Krakowie i znałem adres kolegi w Gliwicach i wiedziałem, że przyjaciele moich rodziców są w Gliwicach. Poszedłem do konwojenta transportu - Polaka - i powiedziałem, że ja nie pojedę do Wrocławia, że tam nie mam nikogo, że mam znajomych w Gliwicach i chcę, żeby on mi wydał zaświadczenia: kartę ewakuacyjną. Byłem na wspólnej liście, a chciałem się odłączyć i pojechać do Gliwic.

Ten, którego zauważyłem w Przemyślu, stoi i wszystko słyszy. Aż mi się nogi ugięły. Miałem dowód, że jestem śledzony. Załatwiłem tę kartę, dostałem pieniądze, bilet do Gliwic w PUR-ze i wyjechałem z Pyskowic do Gliwic. Odnalazłem kolegę. Tam przenocowałem. Kolega poszedł ze mną na drugi dzień do ~~mnę~~ biura meldunkowego. Odnalazłem tych swoich znajomych, którzy chcieli nawet, żebym u nich zamieszkał, bo to byli bardzo serdeczni przyjaciele. Chciałem się skontaktować z bratem i jechać do Krakowa. Wyrobiłem sobie znowu w PUR-ze bilet do Krakowa. Wsiadam w Gliwicach do pociągu do Krakowa. Wsiadam na peronie, a na końcu tego pociągu wsiada z plecakiem Rosjanin. Ten sam. Po tygodniu pobytu w Gliwicach. Miałem ewidentny dowód, że byłem śledzony. Nie pojechałem do Krakowa zaraz, tylko pojechałem do Katowic i w Katowicach na 24 godziny przepadłem w tłumie na ulicach i zgubiłem go. Później pojechałem do Krakowa. On mógł znać moje nazwisko Wolski. Mając to na uwadze, jak już poszedłem do gimnazjum to zmieniłem nazwisko na Gajda, jeszcze w 1946 r., i tak byłem zameldowany przez pewien czas, przez rok. Po roku znowu przeszedłem na Wolski. Ukończyłem maturę. Mój brat poszedł do oficerskiej szkoły politycznej w Łodzi i tym miał być promowany, w 1955 r. I tuż przed promocją został wezwany przez oficera politycznego na wywiad. I tam powiedział, że matka na Sybirze, że brat pod lewym nazwiskiem. Podziękowali mu. Dał mi jeszcze znać listownie, przez kolegę, że to powiedział,

żebym się nie obawiał. Brat do promocji nie został dopuszczony. Z tej szkoły go wywiezli na Śląsk do kopalni, aby odsłużyć jeszcze parę miesięcy tego wojska i oficerem nie został. Mieszka tutaj, we Wrocławiu. A ja byłem w rozterce. Byłem wówczas na V roku na politechnice. Co tu robić? Tragedia. Spodziewałem się, że w każdej chwili UB nie złapie. Napisałem wtenczas do Dzielnicowej Rady Narodowej do referatu społeczno-administracyjnego o zdelegalizowanie nazwiska Wolski Władysław. Ze byłem małoletni, bez rodziców, że chciałem do Polski przyjechać, że kończę studia i chcę mieć dyplom na swoje rodowe nazwisko. Nic specjalnie nie kłamałem. Nie przyznałem się, że należałem do AK, bo wtedy to nie było modne. I z tym podaniem poszedłem do tego referatu. Urzędnik to przeczytał, popatrzył na mnie i mówi: "Proszę pana, pan się spóźnił o trzy lata. Do 1952 r. można było legalizować nazwiska!" O To już nie do nich. Chciał, żebym spokojnie wyszedł, żeby on nie musiał tego zgłaszać. wyszedłem z niczym. Byłem w rozterce. Byłem u znajomego adwokata, jak sprawę prowadzić. On mówi: "Proszę pana, nie wiem, co poradzić, bo jeden z wywiadu zachodniego został zrzucony pod Warszawą. Sam się zgłosił do UB i dostał dwa lata. W pana przypadku to nie będzie sąd cywilny, tylko weźmie to UB. Jakie losy, trudno mi coś powiedzieć." Nie miałem żadnej porady. Poszedłem do domu i kolega ze studiów mi mówi "Ty pisz do Bieruta". Miałem to podanie napisane, więc wysłałem je do Bieruta. Po tygodniu dostałem z prywatnej kancelarii Bieruta odpowiedź, że sprawę skierowano do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Sprawę moją rozpatrzono. Mam wrócić do rodowego nazwiska, wyrobić nowy dowód. Jeśli nie mam metryki, powinienem się zgłosić do archowum akt zabużańskich w Warszawie. Ale metrykę miałem. Zgłosiłem się do biura ewidencji ludności. Podałem naprzód samo podanie, które kierowałem do Bieruta. Przeczytał to dyżurny sierżant, milicjant. Przy czytaniu poprosił

z innego pokoju porucznika czy kapitana milicji. Ten też przeczytał. Otwiera ladę i zaprasza do środka. Wiedziałem, w czym rzecz, pokazałem mu wtedy pismo z MSW. Już mnie nie brał do środka, tylko zostałem jako petent w tym pokoju. Gdy przeczytali pismo z MSW dodałem karteczkę z kancelarii Bieruta. Pyta, czy mam zdjęcia. Powiedziałem, że będę miał o godzinie 14.00. "To przyjdziecie o 14.00, dostaniecie nowy dowód". I rzeczywiście. Miałem zdjęcia już przygotowane, bo spodziewałem się, że tak będzie. Przyszedłem o 14.00. Dostałem nowy dowód, tamten mi zabrano. Spytałem, jak będzie na RKU, na uczelni. "Jeśli ktoś nie uwierzy, to proszę - podaj telefon - niech zadzwoni, my wyjaśnimy." I nie miałem żadnych problemów np. przy zmianie indeksu, bo to było załatwione odgórnie.

zannotowane 27 kwietnia 1988 r.